



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

NAUCZANIE.

Szkółę daje człowiekowi wiedzę z celem tym, aby umiał wybierać między złem i dobrem, trzeba przecież na to, aby nie tylko pojmował jasno, co jest dobrem, ale skłaniał się tak wolą rozumu, jak uczuciem ku niemu i miał dość siły, aby panować nad pragnieniami swojemi na podstawie świadomości, jakie są cele istnienia ludzkiego. Pojęcie dobra powinno być danem młodej przy pierwszym jej rozbudzeniu się inteligencji, aby przecież inteligencja ta zwracała się w tę stronę własnowolnie, potrzeba nie tylko wiadomości tego, co sobie na zapas życia obiera, ale siły woli i uczucia moralnego, które by pozwalało stać mocno przy przekonaniach powziętych, co przecież działać się może wtedy tylko, gdy wola mocna zdolną jest panować nad pragnieniami naszymi na podstawie przewodniej idei naszego życia.

Nauka, którą młode dziecko otrzymuje, powinna już mu to dawać — zwracać myśli jego i uczucia w stronę życia prawą i dla tego to pierwszym i najważniejszym zadaniem nauczających jest nie tylko wprowadzać w umysł dziecka pewne wiadomości, ale i wytwarzać te zdolności sądzenia o rzeczach, które kierowały by aktami jego woli. To działanie umysłu powinno uprzedzać każdy czyn spełniony, co działać się może przecież wtedy tylko, gdy władze umysłu tego przyuczą się wydawać sąd swój o rzeczach na podstawie pewnego ich zbadania — idei, która by ukazywała: co jest dobrem, lub złem. Aby umysł ten działał, nauka pomaga mu silnie przez wyrobienie w nas zdolności intelektualnych, przez analizę tego, co słyszymy i widzimy, — co uczy nas czynić wybór między złem i dobrem.

Rodzicom za pośrednictwem doświadczenia własnego wiedzieć należy, ale idea sama nie wystarczy na to: jest ona wprawdzie siłą, siłą w najszlachetniejszym w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, ale nie działa z całą tą mocą swoją, jeżeli umysł nie przeniknie się nią dość silnie i dość głęboko, aby przetworzyła się w uczucie. Każdy z pośród nas doświadcza tego na sobie samym i pedagog francuzki, Leon Bourgeois, wykazuje że opis jakiegoś wielkiego nieszczęścia, wielkiej niesprawiedliwości, jeżeli dzieje się to w krainie jakiejś dalekiej, lub działa się w historycznej już tylko przeszłości, nie budzi w nas tego wzruszenia, jakiego doznawalibyśmy, gdyby rzecz działa się gdzieś blisko. Zło wszelkie, którego dopuściliśmy się, staje się zawsze nieszczęściem kogoś, wiedza tego powinna też stać na straż czynów naszych i należy dziecku już wykazać tę solidarność ludzkości, która wiąże nas wszystkich od magnata do żebraka i wytwarza łańcuch opasujący ludzkość.

Nauczanie we wszelkich jego gałęziach powinno nie tylko rozwijać pojęcie złego i dobrego, ale dawać zarazem jego odczucie. Trzeba budzić w sercu młodem wzruszenia uczuć szlachetnych, jeżeli chcemy, aby to co jest nauczaniem moralności, wydało w życiu człowieka owoce odpowiednie. Życie przedstawia najmłodszej już nawet dziecinie obrazy przyjemności, używania, trzeba więc jako przeciwstawienie pokusom, które się tu budzić mogą, ukazywać obrazy szlachetnych czynów miłości bliźniego, poświęceń dla idei. Spinoza nie mylił się też twierdząc, że namiętność wszelka zwalczona być może jedynie przez namiętność inną, niemniej silną przecież. Aby uczucie szlachetne mogło tu wzięść górę, należy nam rozgrzać sobie serce i rozbudzić w niem pragnienia wzniosłe: miłość idei dobra powszechnego, miłość rodzinnego kąta, ludzi, a wtedy działać będziemy w kierunku dobra niemal bezwiednie przez szlachetne serca naszego wzruszenia. Herbert Spencer wykazuje, że działać się tak może tylko pod wpływem odpowiedniego wyrobie-

nia moralnego. „Aby poryw szlachetnego uniesienia stawał się niemal bezwiednie czynem, trzeba na to długiego przygotowania uczuć i myśli, szeregu aktów uczciwości i miłości bliźniego.“

Kto spełnia codziennie obowiązki swoje ze skrupulatnością uczciwą, kto postępuje odważnie drogą życia prostą, choć spotyka na niej ostre kamienie, o które ranią się nogi, wytwarza w sobie tę odwagę, jaką posiadają żołnierze nie w jednych walkach pierś swą nadstawiający. Jest to nagrodą uczciwego życia, że rodzą się w piersi człowieka niemal bezwiednie porywy wzniosłe, że uczucia bijące w jego sercu każą mu działać szlachetnie, więc dobro, które czyni, przychodzi mu bez walk i starć bolesnych z samolubstwem, z nędną namiętnością egoizmu. I staje się człowiekiem uczciwym, spokojnie idącym drogą życia, która jest dla niego prostą i gładką, a wiedzie go okolicą życia piękną i żyzną, bo pomimo wszystkiego, co jest w życiu ludzkości nieprawidłowym i pozwalającym, aby złe brało górę nad dobrem, dobro to tryumfuje zawsze w uznaniu tych którzy je spełniają. Montague dodaje, że każdy z nas czuje to przez instynkt dany człowiekowi i ten nawet który złe czyni, zazdrości w głębi swojej tym, którzy umieli utrzymać się przy obowiązku.

Nauka życia gruntowna zawierając powinna trzy konieczne potrzebne tu pojęcia: czystą ideą dobra, rozwój uczuć pojmowanych podniosłe w stosunku do zobowiązań naszych i wyrobienie w sobie przyzwyczajenia szlachetnych, z których rodzą się czyny uczciwe. Aby to osiągnąć trzeba nauczyć się najpierw, aby to, co umysł posiada jako pojęcie dobra, wcieliło się w życie przez nawyknięcie, przez praktyczne nauczanie cnoty, oddziaływające na siły rozwijającego się umysłu, na siły rozbudzającego się uczucia. Wytwarza to w istocie młodej namiętności dobre, bo łączy się ze zdolnością panowania nad sobą, uleganiu regulaminowi przyjętego porządku istnienia, należy przecież, aby ci, którzy wychowaniem kierują: rodzice, nauczyciele, nie dopuścili tu machinalnego tylko wykonywania obowiązku, aby

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KLESKA.

POWIĘŚĆ.

(Dalszy ciąg).

w formy posłuszeństwa wleli ducha tej cnoty: odczucie powinności moralnej. Ideę dobrą należy się przedstawiać dziecku jako cel główny istnienia nie tylko w wykonywaniu pewnych nakazów moralnych, w nagięciu się do pewnych form obyczajowych, ale jako powinność, ku której należy nam zwracać wszystkie myśli, kierować wszystkie kroki nasze. Wcielić się tu jeszcze trzeba uczuciu, a wtedy posłuszeństwo to staje się edukacją duchowych stron dziecka.

Sand z politowaniem wyraziła się o ludzie wiejskim, że żyjąc na łonie natury, nie widzi jej piękności, nie odczuwa jej uroków i obojętnie patrzy na to, co by zachwycić go mogło pięknem swoim, więc uradowywać go i podnosić w nim ducha. To samo przecież dzieje się z ludźmi, których nie nauczo patrzyć na świat ze stron jego podnioslejszych. Idea szlachetnego pojęcia piękna powinna być rozbudzoną w człowieku przez nauczanie go, aby zwrócił uwagę swoją na wdzięk otaczających go przedmiotów i nie pod tym jednym względem człowiek nauczyć się powinien korzystać z darów życia. Powtarza się to i w postępowaniu naszym z ludźmi. Wyrobienie uczucia naucza nas kochać bliźnich i czynić im dobrze, odbierając w zamian miłość braterską. Jeżeli bolelibyśmy nieraz nad nędzą ludzką, nad cierpieniami ludzkiemi, cieszyły by nas za to ich szlachetne czyny i uczyli byśmy się przez nie jak żyć należy, a nauka to najwyższego znaczenia dla każdego z ludzi i dla ogółu całego.

M. I.

ŻYWE GROBOWCE.

Biedny, kto w dni ubiegłe wiecznie zwraca
[oczy]
I na pierś, pełną wspomnień, smutno głowę skłania
A szukając pamiątek młodości uroczej, [nia,
Śle jej westchnienia żalu i lzy ukochania—
Biedny, bo szczęście zawsze zostawia za sobą,
Pośród krzyży mogiłnych, okryte żałoba.

Nie widzi dnia, gdy w jutrzni poranku zaświta,
Słońce pieszczotą ciepłą nie grzeje mu czoła,
I drzemie przed nim przyszłość, w ciemności
[ukryta,
W jej ramiona już żadna żądza go nie woła—
Dniom przyszłym nie śle z serca żadnego pyta-
[nia...
I tylko grób z mgły tęsknej przed nim się od-
[ślania...

Więc żyje śród obcego, nieznanego świata—
Do nikogo serdecznej nie wyciąga dłoni,
Do żadnej piersi ludzkiej czuciem nie kołata,
I nikt go też miłością szczerą nie osłoni...
Choć wspomnienia mu w piersi żar uczuć roz-
[tliły,
Nieszczęśliwy, śle ludziom mroźny chłód mogiły..

Na cóż ci strojna wiosna wieńce z kwiatów ple-
[cie?]
Ty je z rąk swych wypuszczasz, aby zwiędły
[marnie...
Nie ma dla ciebie wiosny, ni kwiatów na świecie!
Twe serce kocha tylko zwiędłe grobów darnie..
Smutny, żywy grobowczel—o! któż cię zrozumie
W tym, ciągle w dal biegnącym, rozgorzałym
[tłumie?]

Antoni Pilecki.

Pytanie zostało postawione, lecz odpowiedzi żadnej nie było. Rzuciła je swym myślom nie dla tego wcale, ażeby miała ochotę zastanawiać się nad niem: była to raczej uporna odpowiedź na niechętnie wzruszenie ramion ojcowskich. Serce spokojnie w jej piersi biło; nie czuła najmniejszego drżenia, ni szybszego obiegu krwi, gdy hrabia zbliżał się do niej, podawał rękę, lub ujawniając jej malutkie paluszki do ust swoich przytulał i całował. Gniewała ją tylko ta tak stanowczo wypowiedziana niechęć ojca do pana Izidora, ta pewność brzmienia rozkazem, że „nie wyjdzie za niego“ te jakieś „zamiary inne“, o których ona nie wie, a które o jej wolę rozbijają się, jak bryzg wody o skałę granitową.

Zamiary—tyczące się jej, a bez jej wiedzy powstałe? Może przymus jaki?...

A—tego za wiele!

Malwina pamiętała dobrze lata swojego dzieciństwa: spełniano jej wszystkie zachcianki, żądania, najdziwniejsze kaprysy nawet, o których dzisiaj bez zarumienienia się pomyśleć nie może;—wszystko jej było wolno i ona do tej wolności przywykła, a teraz ma być inaczej, gdy umysł jej dojrzał i wie, co jest godziwe a co wzbronione przez rozum być powinno? Dzieckiem, — była samowładną panią swych postępów, stawiając się kobietą ma uleść woli czyjejś?...

Tego zrozumieć nie mogła.

Daremno, ktośby jej szeptał, że to jest wola ojcowska: Ona nieczyjej nie zaznała nigdy i do żadnego przymusu nie była przyzwyczajoną. Przypominając nieraz dawne wybryki swoje dziwiła się, że jej pozwolano na to, lecz gdy pozwalało dawniej rozbijać się wyuzdanej fantazji głupiego dziecka, zatrudniając dziś już sprzeciwiać się postanowieniom rozumu i serca—kobiety. Tu nie wchodzi w grę obojętny dla niej hrabia Izidor, lecz—gdyby był nieo-
bojętny? ukryte zamiary ojca stawałyby w poprzek jej życzeniom.

Gorąca krew panny Malwiny na samą już tę myśl burzyła się. Zyskiwał na tem hrabia Izidor, ku któremu, na pozór przynajmniej, skłaniało się serce panny Malwiny, zyskiwał na tem i Baczyński, który obojętnem traktowaniem konkurenta swej córki, rodmuchiwał coraz więcej, przygasła od dawna, dziś nanowo roztloną isierkę oporu w sercu panny.

Hrabia nie spieszył się z odjazdem, po kilku dniach jednak uroczyste pożegnał dom jarnieński, bo miał na czas dłuższy do Zaczynia wyjechać. Baczyński nie zatrzymywał, zatrzymała go panna Malwina.

— Więc nie będziemy widzieć się z sobą z miesiąc jaki?—spytała.

— Tak, pani!—odpowiedział hrabia.

— Wspominałeś mi pan—dodał Baczyński,—że może i dwa miesiące w Zaczyniu przebędziesz?

Panienska lekko wargi przygryzła.

— Aż dwa miesiące!—zawołała.

— Czy to tak długo?—spytał zimno Baczyński.

— Dni sześćdziesiąt—odpowiedziała Malwina.—Zatem—dodała,—zwracając się do pana Izidora—nie wielki uszczerbek zrobiłabym panu w tych dniach sześćdziesięciu, jeżelibyś o dwa, lub trzy poprosiła dla siebie.

— Może hrabiemu się śpieszy—rzekł pół szep-tem Baczyński.

— To odpowie sam na to—zaśmiała się Malwina. Ach! te dni kilka po balu tak szybko przeszły, tak byliśmy zajęci rozmową, to przezieraniem planów pańskiego domu w Zaczyniu, że nawet ni razu nie odbyliśmy konnej przejażdżki. Czy pan chceś mnie tej wielkiej przyjemności pozbawić?

— Pani!—zawołał hrabia pochylając się w ukłonie—

— Zatem szczerb jest zrobiony?

— Tylko nie w tych dniach sześćdziesięciu—odpowiedział hrabia.

Brwi panny Baczyńskiej ściągnęły się lekko.

— Więc pan mi darować nie chcesz tych godzin kilkunastu?—spytała przez lekko ściśnięte usta.

Hrabia uśmiechnął się—wyraz zadowolenia za-błysnął mu w oczach.

— Zostaję—rzekł—ale tych dni kilka czy kilkanaście nawet, spędzonych w towarzystwie pani—szczerbą nie nazwę nigdy!

— Aaa!—zaśmiała się panna Malwina.

Piękny ukłon wyraził podziękowanie.

Spojrzała na ojca.

Baczyński wyciągnął powoli rękę i w milczeniu, obojętnie podał ją hrabiemu.

— Dziwny charakter—szepnął do siebie.—Dużo tam jednak *mojego* jest.

Przydłużona bytność hrabiego dobrą go natchnęła otuchą. Widocznie podbiła serce Malwiny, choć szczególniejszych ku temu nie łożył starań. Hrabia był przekochany, niezdolny już do szczerych wybuchów uczuć, więc czuł, że śmieszny byłby, gdyby zaczął prawie o czułościach i komedję miłości odegrywać. Z młodzieńczych zapałów, z natchnień lepszych, jeżeli je kiedy miał w życiu, wyszeptał się już od dawna; czuł się zmęczony i pragnął teraz spokoju, tylko spokoju i tej domowej ciszy i życia tego, które jakkolwiek nie wabiło go szczególniejszym jakimś urokiem, lecz już nie szarpało nerwów i było pożądaną przystanią po rozmaitych burzach sercowych. Kawalerstwo obrzydło, obracanie się ciągle w wirze świata, znanego mu tak dobrze, jak zdarte pantofle—znudziło i znużyło, chciał się ustatkować, jak mówił Czawiczowi, a tym czasem pragnął tylko wygody, tej sybaryckiej wygody, którą ktoś inny dać mu powinien i o jakiej nie jego głowa ma pomyśleć. Ten słodki obowiązek doglądania i baczenia na wszystko, oczywiście, że ma przypaść w udziale dogonnej towarzysze życia, a cóż dopiero gdy ta towarzyszka ma oczy piękne, usta różowe i ciało niepokalanej białości. On pozwolił się kochać i czasem z łaski swojej za gorące pocałunki pieszczotami odpłaci, a gdy nadwreżone zdrowie szwankować zacznie, ktoś czuwać będzie przy jego łożu, pocieszać i niepokoić się.

Wygoda—wygoda prawdziwa!

Pan Izidor o niczem innem nie myślał.

Czasem, gdy w myśli swojej zaczął rozbierać wdzięki przesłiznego dziewczęcia—lubieżny dreszcz nim potrzasał i pożądanie się wzmagało. Podobnym był do smakosza o zepsutym żołądku, który każe na wety ulubioną sobie potrawę podać, choć ona go może o śmierć przyprowadzić. Myślał tylko o sobie, o tej reszcie życia, jaka mu po sutej biesiadzie została. Nie przypuszczał na chwilę, by ta wspaniała uczta ominąć go mogła; będąc zupełnie spokojnym o to, nie bawił się w zdawkowe grzeczności, w czułe frazesy, nie patrzył nawet oczyma zakochanego, jakby sam tę rolę za śmieszność dla siebie uważał. Główną tylko uwagę zwracał na pannę Malwinę, obserwując z dniem każdym zwiększający się stopień jej miłości. Słowa Baczyńskiego: „bodaż, czy Malwina domyśla się uczuć twoich“—kazały mu być bardzo oględnym w postępowaniu. Malwina nie kocha się jeszcze, ale zakochać się musi. Już postępek jest widoczny; nie była nigdy jeszcze tak uprzejma, jak dzisiaj. Prawda, że nie rumieni się, gdy zostaną sam na sam, zbyt czułych słówek mu nie rzuca, spojrzeń jego nie szuka—ale to dopiero początek. Dość, że zatrzymała go, gdy chciał odjeżdżać—a tego nie bywało dotąd; że częściej niż dawniej zbliża się sama do niego i rozpoczyna rozmowę. Rozmowę prowadzą zwyczajną bardzo, codzienną, banalną nieraz: o jakiejś książce przeczytanej niedługo, wypadku nieinteresującym wcale,

przesłorocznych wyścigach, na których panna Malwina nie była a hrabia Izidor także nie był. Ale są z sobą, patrzą na siebie i przyzwyczajają się do siebie.

— Czem zresztą jest większość małżeństw, jeżeli nie przyzwyczajeniem się zobopólnem? — konkludował pan Izidor.

Co wieczór, cały dom Baczyńskich zgromadzał się pod olbrzymim jaworem, rosnącym na skalistym brzegu Rosieńki. Miejscowość była prześliczna, widok rozległy. Z jednej strony rozciągały się łąki zielone, z drugiej szerokie ramiona wąwozu przetrnięte wartkimi nurtami rzeki, usiane białymi chatami siedzib chłopskich; wzrok nęcił nie jeden tajemniczy załom skał i krajobraz pełen dzikości. Hen, hen—daleko, widniały dachy domków szlacheckich, często dymy unosiły się nad niemi, często perłowa mgła przezroczystym otaczała je zawojem. Najwidoczniejszym był dom Maleckiego, w nim też co wieczora najwcześniejsze zapalało się światło.

I teraz pod jaworem znalazła się cała rodzina pana Lubomira. Hrabia na ławie kamiennej siedział przy pannie Malwinie, miss Mary, wsparta o stół wyciosany z granitu, przysłuchiwała się z zajęciem ich rozmowie, trzy młodsze odrośle domu Baczyńskich z bonami i niankami, harmiderowały sobie w najlepsze, biegając po gazonach, pan Lubomir przechadzał się z żoną, uśmiechał się co chwila do myśli własnych, z pod przymrużonych powiek rzucając wzrok na córkę.

— Ach, zapomniałem jeszcze zapytać panią — mówił hrabia, — jaki ma być zajazd przed pałac Zaczyński. Wie już pani, jaki jest rysunek drogi prowadzącej przed ganek—ale brzegi jej powinny być czemś ozdobione, bo pozostawić gazon nie obrębiony żywopłotem, albo festonami choćby z dzikich winogron—nie zdaje mi się, by dobrem było.

— Jakże pan uczynić zamysłasz? — spytała Malwina.

— Ująć gościniec w krzewy róż miesięcznych, a mam ich przepyszne gatunki. Zaledwie jedno opadną, drugie rozwijają się poczną. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni na jedną chwilę nie zbraknie nam kwiatów. Przedstaw pani w myśli dwie równoległe do siebie płynące wstęgi o barwach najwyższych, rozlewające do koła balsamy. Lewa wstęga dopiero się urwie przy samej ścianie pałacu, wbiegnie nawet po małym odkosie muru jaki tu bok pałacowy podpira, druga kołem okraży dziedziniec cały i po samym środku ślimakiem się skręci, przykrywając się baldachimem buldenezowego drzewa.

— Prześlicznie! — odezwała się panna Malwina.

— Miałem tylko przy sobie plany wewnętrznego rozkładu domu—ciągnął hrabia,—ale pani nie wie dotąd, jaką on powierzchowność mieć będzie. Rysunku jednak tego nie mam, lecz temu wnet zaradzę i choć w mniej ozdobnych konturach skreślę pani przyszłą siedzibę.

Ostatni układ frazesu brzmiał dwuznacznie.

Czy to miało oznaczać: jej przyszłą siedzibę, czy zarys tej siedziby jej tylko nakreśli? Mówiąc jednak to hrabia nie użył żadnego przecinka i wypowiedziany ten frazes przybrał pierwsze znaczenie.

Miss Mary nieco zdziwiona patrzyła na swoją przyjaciółkę. Już ją poprzednio uderzyło zdanie pana Izidora: „nie zbraknie nam kwiatów.“ Tak tylko rozmawiają narzeczeni i budują sobie gniazdko na przyszłość. To dziwne, że Malwina nie jej dotąd o tem nie wspomniała. Czy słodką tajemnicę chciała tylko dla siebie zachować? Lecz ona mimowoli na jaw dziś wyszła, mówiono zresztą tak, jakby już żadnego sekretu nie było.

To odkrycie zabolalo angielkę.

Hrabia tymczasem dobył notatnik z kieszeni bocznej surduta i wyjąwszy znajdujący się przy książeczce ołówek, zaczął rysować swoją rezydencję w Zaczyniu.

Pan Izidor niezłym był rysownikiem:—w kilku śmiałych rzutach skreślił przepyszny fronton pałacu, który prędej miał wygląd jakiegoś średnio-wiecznego zameczku o wysokich gloriety gotyckich, dachu śpiżastym i smukłej wieżyczce, na której wierzchu blaszanej nawet nie brakło chorągiewki.

Panna Malwina przypatrywała się rysunkowi, hrabia pochylił się także i tłumaczył rozmaite szczegóły budynku. Dwie głowy znalazły się tak blisko siebie, że czarny kędziór włosów dziewczyny

dotknął bladej hrabiego skroni. Baczyński spostrzegł to, uśmiechnął się i lekko tracił żonę, miss Mary oraz większej doznawała przykrości i z pewnym wyrzutem patrzyła na swoją wychowankę i jak miała prawo sądzić—przyjaciółkę od serca.

Hrabia delektował się tem dotknięciem włosów panny Malwiny, czuł ciepło jej skroni, oddech ust i liczył falowanie jej piersi. Panna Malwina była tak zajęta przypatrywaniem się rysunkowi, że nie widziała co się w koło niej dzieje. Wreszcie odchyliła głowę i rzekła:

— Nie wiedziałam, że pan tak dobrze rysujesz.

W tem wzrok jej spotkał się ze wzrokiem angieli.

— Co ty tak na mnie patrzysz, Mary? — spytała —

Miss nie odpowiedziała nic, spuściła oczy tylko i stłumiła ciche westchnienie.

Nagle rozszerzyły się źrenice panny Malwiny. Wstrząsła się lekko, jakby przez nią dreszcz przeszedł i szybkim ruchem dłoni dotknęła pukla włosów, który przed chwilą muskał pochyloną twarz hrabiego. W jej umyśle zarysowała się niewyraźna świadomość tego, co przeszło, silny rumieniec na twarz wybiegł i możeby powstała obrażona i odeszła, ale wzrok jej spotkał się ze wzrokiem ojca, który zdawał się patrzeć surowo z wyrazem jakiegoś niezadowolenia. Było to przywidzenie, ale powstrzymało pannę Malwinę od wykonania powziętej myśli.

Czas szybko płynął, wieczór był parny, trawy suche i mgły rozsnuwające się daleko mówiły o niepewnej nazajutrz pogodzie. Ogromny, czerwony, jakby nabrzmiały krwią podnosił się księżyc—im posuwał się wyżej, tem więcej bladł i malał, otaczał go krąg jasny, jakby obręcz z blade srebrnych promieni usnuta. W powietrzu była cisza zupełna, palczaste liście jaworu wisiały nieruchome, tylko komary brzęczeć zaczęły a żaby w stawach śpiewały.

Towarzystwo nie spieszyło się z powrotem, tylko dziatwa, nadstawiając wszystkim buzi po kolei udać się na spoczynek musiała. Rozmowę prowadzono dalej, panna Malwina zdawała się być więcej zamyśloną, parę razy westchnęła nawet i zapatrzyła się w księżyc.

Oznajmiono wieczerzę — podnieśli się wszyscy. Hrabia oczywiście podał rękę pannie Baczyńskiej i puszczał naprzód rodziców panny Malwiny, sam z nią, zwalniając co chwila kroku, zostawał w tyle. Miss Mary zauważyła ten manewr, wydał się jej wielce znaczący. Nie chcąc więc przeskadzać młodej parze, przyłączyła się do Baczyńskich i razem z nimi znikła na zakręcie grabowej aleji.

Zostali sami.

Zdawało się hrabiemu, że ta noc księżycowa, ta cisza, te plamy światła, które kładły się pod ich stopami, wszystko to razem wzięte, nadawało się do jakiegoś gorącego uczuć wybuchu. Ale czuł dziwne zimno w sobie, zimno nie leżące wcale ze słowami, jakie miał na myśli. I zdawało mu się, że byłby śmiesznym, gdyby zmusił siebie do wyznań tkliwych. Potrzeba czuć, czuć cokolwiek, a on po chwilowym dreszczu, jakiego doznał, gdy skronie jego musnął pukiel włosów panny Malwiny—czuł się znów wyczerpany i jak lód zimny. Odłożył więc oświadczenia na dzień jutrzejszy, gdy będzie w lepszym usposobieniu, teraz tylko, trzymając rękę Malwiny w swojej ręce, szedł krokiem powolnym, rzucając czasem spojrzenie na piękną swą towarzyszkę, która szła z opuszczoną nieco głową, przypatrując się płomom księżycowym.

— Pani marzy—odezwał się po chwili.

— Patrz na srebrzyste plamki księżycy—odpowiedziała.

— Napatrz się pani na te prześliczne arabeski w lipowej aleji Zaczynia. Mówią, że takiej aleji drugiej nie znaleźć na świecie.

— Doprawdy? — spytała panna Malwina.

Zbliżyli się do domu przed którym zastali resztę towarzystwa czekającego na maruderów.

Podczas wieczerzy parę kielichów starego węgierskiego wina dodało nieco wesołości hrabiemu. Ale panna Baczyńska zamyśloną była i mało mówna. Gdy przeszli do salonu, hrabia usiadł przy fortepianie, lecz widząc, że Malwina na drugim końcu pokoju z miss Mary została, wstał, podszedł do niej, podał ramię i zbliżając się już z nią do opuszczo-

nego przed chwilą miejsca—wskazał krzesło przy sobie.

— Zagram coś pani!

Panna Malwina usiadła—hrabia uderzył w klawisze.

Grał bardzo dobrze.

— Piękny fortepian będę miał w Zaczyniu — rzekł, skończywszy jakąś zawiłą warjacyję muzyczną.—Przekona się pani, jak ten utwór inaczej na tamtym instrumencie się wyda.

— Mam tę fantazyę przerobioną na cztery ręce—odpowiedziała panna Malwina.

— Będziem grali nieraz—rzekł hrabia.—W tym salonie zła jest akustyka, tony giną i nie wychodzą pełne. W Zaczyniu urządziłem iscie koncertową salę według wszelkich praw akustyki. Zobaczy pani!

Baczyński zapaliwszy cygaro, kołysał się w fotelu i myślą przenosił się cały do wspaniałego Zaczynia, pani Olimpia poszła dowiedzieć się do dzieci, miss Mary chodziła wzdłuż pokoju z kąta w kąt, a hrabia z Malwiną prowadzili rozmowę, która coraz przykrzejszą dla angieli się stawała.

Miss Mary nie miała przeciwko hrabiemu, przeciwnie, lubiła go nawet i może rada byłaby widzieć swoją wychowankę żoną tego potomka starożytnego rodu. Podrażnione tylko było jej uczucie pryjazni, jej bezgraniczne przywiązanie do Malwiny, które teraz pewnego uszczerbku doznało i niespodziewanego zawodu. Są po słowie—to widoczne, a ona nie o tem nie wie. W tym wypadku przyjaciółka usunięta została, pozostała tylko miss Mary, nauczycielka angielskiego języka. A przecie parę dni temu, gdy opowiedziała Malwinie krótką historję swojego życia, doznała od niej tyle czułości i pieczy, zapewnienie tak silnej przyjaźni, że wątpić o jej szczerości nie mogła. Tymczasem... Miss Mary w głowie się mieszało... w rzeczy tak ważnej, jak stosunek Malwiny do Izidora—zapomniano o niej zupełnie. Malwina jednym słowem, półsłówkiem nawet nie zdradziła swych uczuć, nie dała jej nawet do myślenia, że coś jest, że coś być może. A przecie to wszystko nie musi nosić daty dnia dzisiejszego, to już są rzeczy bardzo dawne i bardzo stare.

Miss Mary tłumila łyż prawie, chodziła coraz szybciej, jakby tym ruchem gwałtownym przygłuszyć chciała wzrastający a coraz dotkliwszy ból zawodu.

Około północy udano się na spoczynek.

Hrabia z całą poufałością *dobrze widzianego* uściśnął rączkę panny Malwiny i udał się do swoich apartamentów, Baczyński także opuścił salon, pozostała tylko miss Mary, która rozpoczęła na nowo swoją wędrówkę z kąta w kąt, i Malwina stojąca przy fortepianie, z pochyloną na piersi głową, jakby rozwiązująca jakąś zagadkę trudną.

Panowało milczenie.

Pośrodku jarzył się duży żyrandol zawieszony u sufitu, przez okna patrzyła srebrna twarz księżycy, przerywał tylko ciszę szybki chód miss Mary i szelest jej sukni. Onufry parę razy zajrzał do pokoju z zamiarem gaszenia światła, ale widząc pannę zamyśloną, angielkę chodzącą—usunął się i wyszedł na palcach.

Po chwili panna Malwina, jakby się ze snu jakiegoś zbudziła, podniosła nagle głowę i widząc przyśpieszony krok przyjaciółki i twarz posępną, zaczęła się jej przypatrywać.

— Co tobie, Mary? — spytała, zbliżając się do niej.

Angielka zatrzymała się —

— Co—mnie?...

— Tak!

Miss Mary podeszła do Malwiny.

— Doznałam malutkiej przykrości.

— Ty?

— Ja.

— Kto był jej powodem? — spytała panna Malwina.

Miss Mary chciała wszystko powiedzieć, ale zawahała się. Nie—natrętną nie będzie. Nieproszona, na co ma się wciśkać do tajemnic serca czyjzegoś, jeżeli je ukryć pragną. Poruszyła tylko ręką i rzekła trochę przyciszonym głosem.

— E—błahostka!... Później, kiedyś ci o tem powiem... Zresztą—to może mi się wydało—

Malwina spojrzenie długie zatrzymała na oczach mówiącej.

— A może i mnie się wydało. Czy ja wiem! — rzekła.

Ucałowała szczerze miss Mary i wolnym krokiem do swojego odeszła pokoju.

W sypialni nie było światła, niepotrzebował więc blask księżyca klócić się z promieniami lampy i rozlał się pełną falą po posadzce, srebrną poświatę rzucił na piękną postać pana Krzysztofa, która jakby żywymi oczyma, spojrzała na wchodzącą pannę Malwinę. Okno było otwarte, zapachy lewkonji i rezedy, unosiły się w powietrzu i delikatną wonią przepełniały pokój cały. Malwina podeszła do okna i oparła się o futrynę.

Noc — cicha, jasna, wonna noc księżycowa, — wszystko ogarnął sen. Najłżejszy szmer wiatru nie przelatywał przez drzew szpalery, żaden listek nie zadrżał na gałązce, ani ptak w gniazdku się swoim obudził i w sennie zatrzepotał skrzydła. Tylko skrzekot z dalekim gdzieś odzywał się lamentem, tylko, uderzając o ostry brzeg skały, cicho czasem westchnęła Rosienka.

Westchnienie poruszyło i pierś panny Malwiny.

— Co to jest? — szepnęła — mówiliśmy tak, jakbyśmy byli narzeczeni.

Zaczęła przypominać sobie każdy szczegół rozmowy prowadzonej z hrabią Izydorem, rozbierała słowa jego, z jakimi zwracał się do niej.

— Nie zbraknie nam kwiatów, przyszła siedziba pani, przekonasz się o dobrej akustyce w sali Zacznieckiego pałacu. Tak mówił — a ja? Nie nie rozumiem, jak do tego przyszło — szeptała w duchu dalej. Prowadziliśmy rozmowę, jakby między nami już wszystko ułożone zostało. Czy to tak porozumiewają się narzeczeni?

Poruszyła się niecierpliwie i potarła dłonią czoło, które w tej chwili było gorące jak żar.

— Nie bywało dotąd porozumienie, jakieś nie-me, bezmyślne zgodzenie się na wszystko. Gdzież słodkie słowo: Kocham! które powinno poprzedzić rozmowę podobną? gdzież ta chwila lubego zapomnienia, w której ukochany, czarodziejskie wymawiając wyrazy, całuje usta i oczy i sercem odpowiada serca słucha? Nie — nie, tego nie było — a jednak tak było, jakby wypowiedziane już wszystko zostało.

Ohydna to miłość jakaś, w której udziału ani krew ani serce nie bierze, usta ust nie szukają, spojrzenie ze spojrzeniem się nie łączy. On bez pytania, czy ona życzeniom jego odpowie — mówił: *my, u nas* — jakby był pewny jej słowa, a ona nie zaprotestowała ni razu, lecz lekkim ruchem ręki zmieniła rysunek alej w Zaczyniu, dopełniała braki różne w rozkładzie domu, jakby ten dom był jej, lub miał być jej.

Pannie Malwinie temu zabrakło, gorące powietrze pokoju dławilo, — skoczyła na krzesło stojące pod oknem i w jednej chwili znalazła się w ogrodzie. Szła szybko, niewiedząc dokąd idzie. Zanurzyła się w cieniu alei lipowej, ztąd wyszła na pełne światło księżyca, aż oto znów stuletni jawor ogarnął ją ciemnymi konarami i przepaść skalista zatamowała drogę.

Wstrzymała się chwilę.

U stóp jej, jak wąż o łusce złocistej, wila się Rosienka; jasne światło księżyca drgało na jej ruchomej powierzchni, gineło w załomach skalnych i błyszczało znów dalej, coraz migotliwsze, szybsze coraz. Panna Malwina stała nad urwiskiem i zdawała się namyślać czy zostać tu, czy wracać. Już miała się udać w drogę powrotną, lecz coś zaszleściło za nią, jakby ktoś siedł ostrożnie, kradnąc własnych kroków odgłosy.

Dwór jeszcze nie spał — ktoś mógł wyjść i chodzić po ogrodzie.

Noc taka piękna!

Może to był ojciec, miss Mary, może hrabia? Wszystko jedno jej było w tej chwili. Nie chciała nikogo widzieć, z nikim się spotkać.

Brzegiem przepaści skalistej ścieżyna w dół biegła. Porastały ją krzewy jałowcu i dzikiego chmielu powoje. Nie łatwo było w dzień zejść po niej, nocą zaś, choć księżyc tak jasno świecił, o wypadek nie trudno. Mogła się noga pośliznąć, trzymana łodyga krzewu pękając, zdradliwy cień ukryć szczerbę jakąś.

Panna Malwina namyślała się chwilę — chwilę tylko, bo już czyjś chód najwyraźniej słyszała za so-

bą. Zgarnęła szybko u kolan suknię i skoczyła na dobrze sobie znajomy gład z boku wystającej skały.

Panna Malwina знаła doskonale tę drogę, nieraz w dzień spuszczała się na dół do brzegów Rosienki z wielkim strachem Baczynskiego, który widząc jak wieszać się nieraz nad urwiskiem była zmuszona, chwycić wiotkie chmielu gałązki lub kruche jałowcu, pręty, drżał z niepokoju, ale panna Malwina śmiała się i stanawszy już na dnie przepaści od ust ojcu posyłała pocałunek. — Była pewna, że i teraz nie zawiedzie jej stopa, a choć podczas nocy księżycowej szczerby skał zdawały się większe, jakieś cienie potworne zabiegały jej drogę, — szła śmiało, śmielej nawet niż w dzień biały, wspierając się o głązy wystające, oplatając się powojami chmielu, nieraz skokiem sarny przesadzając jakąś niewielką wyrwę, której niewidziała dotąd. Czuliła nawet pewną rozkosz w tem niebezpieczeństwie, z jakim walczyć musiała. Serce jej biło mocno, policzki płonęły, a usta tak rozpalone były, że nieraz ze skał odrywała mech wilgotny i do swoich warg przykładła. Zanurzała się w cienie, to na pełne światło księżyca wychodziła. Rosienka coraz głośniej szumiła, odróżniała już każde uderzenie fali, owiewał ją chłód wilgotny i jakąś błogością pierś jej wypełniał...

Dokoła było cicho...

Nagle tuż przed nią poruszył się krzew jałowcowy i nagły szelest dał się słyszeć. Panna Malwina drgnęła i o mało nie usunęła się w przepaść, równowagę straciwszy, — ale zatrzymała się, chwytając rączkami za gałązkę chmielową. To pewnie jakiś ptak spłoszony wyleciał nagle z gniazda, a może zwierzątko jakie umknęło, przestraszone szelestem jej stóp...

Rosienka już była przed nią...

Panna Malwina skoczyła i stanęła nad brzegiem...

Spojrzała przed siebie, za siebie i wyraz tryumfu zarysował się na jej twarzy. Tam, u góry, na skałach pozostał ogród jarnieński, ogromnego jaworu ledwie koronę dostrzedz mogła; przed nią wartko płynęła ruchliwa wieczna Rosienka i chowając się w wąwozy skaliste zdawała się mówić, by szła za jej niepowstrzymanym biegiem.

Taka noc cudna, taki krajobraz swoją dzikością piękny i jak tu wracać, i po co wracać, by głowę do puchowej poduszki przyłożyć i przespać jedną chwilę świadomości życia?...

Nie. — Ona czuła pragnienie jakiejś wędrówki bez końca. Lękać się nie miała czego. Zły człowiek nie miał by tu co robić, jeżeli by zaś spotkała kogo bądź z mieszkańców wsi, to ją tak wszyscy kochają, że żadnej krzywdy obawiać się nie może.

Zanurzyła się więc w cieniu jaru, gdzie już nawet blask księżyca nie dochodził, tylko się czeptał wierzchołów drzew rosnących u góry, połyskał na nagich skałach brzegach i świecił kroplami rosy na wilgotnych mechach zawieszonych...

Daleko było od domu, a ona zapuszczała się coraz dalej w wąwozy, środkiem których wila się wązka ścieżka do wsi prowadząca i do osad szlacheckich...

Nagle wstrzymała się.

Posłyszała głosy ludzkie.

Czy przed nią były, czy za nią zmiarkować nie mogła, bo kręte załomy podobnych skał oszukują zawsze i raz tu, drugi raz tam głos powtarzają. Słyszała tylko wyraźnie dwa głosy, które wciąż zbliżały się do niej. — Mogła się ukryć — ale wszelkiego wstydzila się teńcówstwa, usiadła więc na kamieniu i za atrzyła się w fale Rosienki, słuchając rozmowy, która coraz wyraźniejszą się stawała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WŁOCH

Rocznica plebiscytu rzymskiego, przypadająca na dzień 2-go października, obchodzona była w Rzymie bardzo uroczysto; mnóstwo ludzi zjechało się do Wiecznego Miasta ze wszystkich prowincji kraju i oprócz wspaniałego pochodu przez główne ulice Rzym cały gorzał wieczorem wspaniałą iluminacją, a ogłoszenie amnestyi dla chroniących się przed spełnieniem obowiązku służby wojskowej, uradowało niemało ludzi, bo od 1852 do 1874 r., to jest od ostatniej daty poboru, było takich leniwych, czy też nieprzychylnych obecnemu stanowi rzeczy, 253,546 osób. Obok tego odsłonięto pomnik poety, Piotra Cosso, który sławił gorąco w poezjach swoich odrodzenie nowożytnego Rzymu. Pomnik stanął w miejscu dobrze wybranem, na szerokiej ulicy Via Avenula, przy akcie tem odsłoni minister oświecenia, Gwido Bacelli wygłosił szlachetnie piękną mowę, wykazując jakim jest oddziaływanie literatury na społeczeństwo, a zarazem społeczeństwa na literaturę. Uczucia nasze i poglądy na życie tworzą czyny, a na odwrót czyny spełnione podnoszą ludziom serca w piersiach i kazać czuć podniosło. Już to Rzym przyozdobił się w czasach ostatnich znaczną liczbą pomników, wydała je chwila wiekopomna w historii Włoch, przecież najwspanialszym pomiędzy nimi będzie pomnik Wiktora Emanuela na Kapitolu, nie wykończony jeszcze, ale według tego, co plan jego wykazuje twierdzić już można, że wzniesie się w Mieście Wiecznem najznakomitsze dzieło nowożytnej sztuki włoskiej.

Wenecja obchodzić będzie wkrótce jubileusz wielkich dla ludzkości zasług podróżnika z końca XIII wieku, Marco Polo. Ojciec jego miał w piersi namiętne pożądanie poznania szerszych niż Europa przestrzeni świata i zabrawszy ze sobą syna, chłopię jeszcze młode, bo liczące zaledwie 17 lat piętnaście, opuścił Wenecję w 1269 r., a wrócił tam w 1295 r. już jako człowiek dojrzały, przeszło czterdziestoletni. Przewędrował całą Azję, nauczył się wielu języków wschodnich i w służbie chana Mongołów poznał na wskroś w obyczajach i dążnościach świat ten mało znany wówczas Europie, który przecież był dlań nieraz potęgą groźną, jak to my doświadczały przez wieki. Uczeni twierdzą nie mylnie, że to przykład jego rozbudził w Krysztocie Kolumbie pragnienie zwiedzania nieznanych części ziemi, wszystkie Towarzystwa geograficzne całego cywilizowanego świata mają też wzięść udział w pamiątkowym tym obchodzie, który niewątpliwie przyniesie korzyść niemałą nauce i rozszerzy wiedzę ziemioznawstwa.

Człowiek jest istotą ciekawą, pragnie też wiedzieć nietylko to, co się oczom jego ukazać może, ale ma pożądanie wiedzy przeszłości. Rzym, który wznosi się na odwiecznych dziedzinach posiadłości człowieka, nęci też do siebie przedewszystkiem archeologów, bo podziemia jego mieszczą tysiące zabytków przeszłości; są tam posągi, są grobowce, ruiny wspaniałych gmachów, zapadłe w ziemię, zasypane pyłem wieków nieraz na pięć, sześć metrów grubości. Uczony archeolog, Rosi, zasłużył się też wielce nietylko narodowi swojemu, odsłonił przeszłość w obrazach jej życia codziennego, dając przez to popęd następcom swoim, aby wejrzeni w jej wnętrze. W katakumbach S-ty Pryscylli na Via Salaria nuova odnalazł jeden z kapłanów fresk z II-go wieku po Chrystusie przedstawiający rozdawanie komunii przy ołtarzu; bardzo też zajmujące dla archeologów są przedmioty wydobywane z jeziora Nemi w górach Albanii. Cesarz Tyberyusz przebywał wśród gorących dni lata nad malowniczym tem jeziorem i pływał często po błękitnych jego toniach we wspaniałej, bogato zdobnej tryremie; tryrema ta zatona, pozostało przecież o niej podanie, więc przez wieki nęciła ludzi myśl o tych bogactwach ceszara i oto w bieżącym miesiącu właściciel jeziora i willi, w której przebywał zwykle latem, książę Ortini, rozpoczął poszukiwania i odnaleziono brązowe części łodzi, odnaleziono kunsztowne mozaiki i archeolo-

gowie cieszą się też, że z czasem doborą się do dna tych wód, kryjących niejedne skarby przeszłości.

Mozajki są i chyba będą zawsze niezmiennym bogactwem sztuki włoskiej. Fabryka ich mieszcząca się w Watykanie kopiuje najcenniejsze i najstarszytniejsze obrazy religijne, używając tu szkła kolorowego o skali 10,000 odmian. Właśnie w tym czasie, bo w tym miesiącu, wykończą się tam wielki obraz taki, przedstawiający S-go Marcyala i S-tą Waleryę, a jest on przeznaczony do kościoła, gdzie mieszczą się już kopie takie wielkich arcydzieł sztuki religijnej, Przemienienie Pańskie Rafaela, „Spowiedź S-go Hieronima“ Domenichina. Ponieważ S-ty Marcyal był biskupem w Limoges, biskup obecny tej francuskiej diecezyi sporządzić kazał kopię kosztem swoim. Oryginał malował mistrz włoski Spadarino w 1663 r., a siedmiu artystów odtwarzało go przez lat trzy w mozaice. Wkrótce, bo w miesiącu grudniu, obraz umieszczonym będzie w jednym z ołtarzów kościoła S-go Piotra.

Obecny minister oświecenia zajął się bardzo gorliwie poszukiwaniem zwłok Juliusza i Wawrzeńca Medycyzów w kaplicy bazyliki S-go Wawrzeńca, w której mieszczą się wspaniałe rzeźby Michała Anioła. Znaleziono pod posadzką dwie drewniane trumny kształtu skrzyń; Juliusz został zabitym w katedrze florenckiej przez sprzysiężonych przeciwko niemu, czaszka nosi też ślady dwóch pałaszy, równie jak strzaskana noga. Odfotografowano oba szkielety i przywrócono je grobowi przy uroczystym nabożeństwie z muzyką Verdiego, który mimo sędziwego wieku jeszcze jest rzeźkim i zamłotowanie jego do muzyki nie zmniejszyło się bynajmniej. Bywa często w teatrze opery, interesuje się bardzo sztuką i dba wielce o to, aby jego utwory były dobrze oddawane, a jest obok tego niemal zawsze w dobrym humorze. Śpiewaczka, Bona Pasque, posiadająca wielkie uznanie w świecie melomanów, a która śpiewała już jako Amneris w „Aidzie“, pisała do niego list w dniu jego urodzin jak sądziła, 11-go października, a on dziękując odpisał wesoło, że chce zrobić go starszym o dni dwa i zaprosił ją na zebranie wieczorne w dniu rzeczywistym jego urodzin.

Przebyte doświadczenie ciężkiej, smutnej przeszłości sprawiły, że dawna wesołość włoska odbiegła tu ludzi, siłą się na to aby wrócić, niełatwo to przecież przychodzi tym, którzy długo dręczyli się w sobie i ów sławny na cały świat karnawał rzymski już nie jest takim jak niegdyś, mimo usiłowań czynionych przez ogół. Naśladowa się tu wprawdzie dawne czasy, pisałem już wam o ile pamiętam, jak przez Corso ciągnęły kolosalne wozy, na których mitologiczne i symboliczne postacie wzrok pociągały, ale nie to już jest, co było niegdyś, gdy panie z najwyższej arystokracji brały tu udział czynny. Świat się zestarzał, a raczej warunki życia, jakie człowiek nowoczesny wyrobił sobie, nie dopuszczają już tej szczerej, naiwnej wesołości, jaka niegdyś rozjaśniała ludziom życie. Poważniej patrzemy na rzeczy, bo tak tu, jak i gdzie indziej zastępują nam drogę różne trosk zawady, różne ciężary kładą się człowiekowi pod brzemieniem trosk swoich uginać, trzeba nam przecież mieć chwilę jakąś, w której mógł by on rozśmiać się szczerze i wesoło spojrzeć przed siebie.

Pamiętniki z lat dawnych przechowywały obrazy tych wesołych karnawałów, w których poczynając od XV wieku, cała arystokracja rzymska brała udział i dostał mi się właśnie do ręki pamiętnik z 1805 r., opisujący karnawałowe zabawy ówczesne, szczególniejsze urządzone w zapusty. Zwrócono się do mitologii i utworzono procesyję przez miasto, przedstawiającą orszak bogów na zaślubinach Psyche, a nie wdrygały się tu mieszać z rzeszą wesołą panie z najwyższej arystokracji, na co konwenans dzisiejszej doby pozwolił by nie chciał. Zaczynamy też odczuwać że nam źle z tą powagą dumną i utworzył już się w Rzymie komitet z zadaniem wskrzeszenia dawnych włoskich zabaw, a nie tylko ściąganie to do Rzymu cudzoziemców, a z nimi nie mała groza, ale dobrze jest tak pojedynczym osobistościom jak i ogółowi mieć chwile takie, w których zrzucił by sobie z ramion ciężar trosk i prac na kawałek chleba, bo nie samym tym chlebem żyje człowiek.

Minister oświecenia Baccelli podziela snadź to zdanie, bo z wielką i można powiedzieć pobożną

troskliwością otacza opieką swoją wszystkie starożytne zabytki Rzymu, zachowując starannie jedne, odnajdując drugie. Jego to pomysłem i staraniem się stało, że otworzono szeroką ulicę, Via Sapenti, wiodącą przez Via Cavour i przebito wzgórze Esquilono, wiodące do Koliseum, co nie tylko ułatwiłoby przystęp do tego starożytnego zabytku przeszłości, ale da możliwość wydobywania z łona ziemi przedwiekowych pamiątek, które tam zagrzebane zostały pod pyłem wieków. Trzęsienia ziemi sprawiają to, że spoczywa ich tam niemało, a na tę klęskę Włoch nie ma rady żadnej, bo człowiek nie jest mocen nie tu przeciwstawić siłom natury. W Spoleto zadrżała ludzom niedawno, bo 20 października ziemia pod nogami, a był to wieczór pogodny, gwiazdy świeciły na niebie nie zaćmionem chmurką żadną, na Corso grała muzyka wojskowa, której słuchało mnóstwo osób, gdy nagle dało się uczuć jak gdyby chwanie się gruntu pod nogami. Krzyk trwogi ozwał się chórem przerażającym, matki chwylały dzieci na ręce, uciekano tłumem zbitym i stać by się mogło niejedno nieszczęście, gdyby nie przytomność umysłu oficera dyżurnego, którzy zakomenderował gromko, aby zagrano marsza narodowego i te dźwięki muzyki wpłynęły szczęśliwie na uspokojenie ztrwożonych. Rzecz się powtórzyła przecież nazajutrz, o godzinie 3-iej po południu, wstrząśnięciem silniejszych było dwanaście, miasto nie poniosło jednak szkód ważniejszych nad osunięcie się kilku starych budynków drewnianych, tragiczną przecież była chwila, gdy mury więzienia miejskiego zadrżały, a zamknięci w nim więźniowie poczęli rozpaczliwie drzwi wybijać.

Kapelan więzienia, który mógł się bez ujmy obowiązku oddalić, nie uczynił tego przecież, jak prawdziwie dobry pasterz owczarni swojej zszedł do nieszczęśliwych, aby podnieść im ducha w pierś. Gdy klękawszy w pośrodku nich, zanucił pieśń pobożną do opatrności boskiej, uspokojono się zwolna, a uniesienie nieszczęśliwych było takim, że przełożony więzienia posłał już na pomoc po wojsko, bo rabuś włoski jest dziko namiętny, zwłaszcza gdy krew w nim zawrze. Rozbójnictwo jest po dziś dzień plagą Włoch, bandy opryszków tworzą się zawsze jak za czasów Rinaldi i Rinaldini i to, co doniosły właśnie dzienniki, da wyobrażenie o stanie rzeczy. Na Korsyce grasuje banda złożona z dwunastu dzikich, zuchwałych, a silnych chłopów, którzy uzbrojeni w broń palną odważają się ukazywać w dzień biały, napadają wsie i miasteczka, palą chaty i dwory, a gdy opór jest im stawiany, mordują.

Można by zapisać nie mało arkuszy papieru opowieściami ich czynów zuchwałych; ludność wsi i małych miasteczek opłaca im się pokornie, brakuje też pieniędzy w kasach rządowych, bo podatki przy takim stanie rzeczy nie mogą być uiszczane terminowo. Król Humbert, który uważa i uważał za zawsze Stowarzyszenie Włoskich kół strzeleckich za instytucję bardzo pożyteczną, bo wyrabiającą zwłaszcza w młodzieży dzielność męską, zwrócił się teraz do Stowarzyszenia, aby przyszło rządowi z pomocą w trudnym zadaniu wyniszczenia w kraju bandytyzmu, co zostało bardzo chętnie przyjęte i tworzą się już bataliony ochotników, pełne dobrej woli i zapału.

Zakończył ten list mój do was przyjemniejszą rzeczą. Komitet sędziów na międzynarodowej wystawie sztuki w Wenecyi ogłosił nagrody przyznane za najlepsze obrazy. Pierwszą, 10,000 lirów, ofiarowaną przez miasto otrzymał F. Michetti za obraz „Córka Jaira“ drugą: 5,000 lirów, dana przez rząd wziął I. Segantini za obraz, który ciągle otaczało mnóstwo widzów „Powrót do kraju“, trzecią, 5,000 lirów wziął M. Liberman. Rzeźbiarz, Dominiuk Trentacosta otrzymał wielką nagrodę za posąg wyrzeźbiony w marmurze: „Opuszczona.“ Geniusz włoskiego artyzmu nie zamiera wśród realizmu dzisiejszych czasów, a przeciwnie rozwija się w odzyskanej pogodzie uczuć i spokoju wewnętrznego.

August

Z wrażeń turysty.

II.

(Dalszy ciąg).

Kolonia nader starożytnem i bardzo pięknem jest miastem. Mylnie też robią ci, którzy zatrzymują się tutaj dla zwiedzenia katedry jedynie. Parowiec przybywa z Moguncyi o dość późnej godzinie. Pokłoniwszy się więc katedrze, skapaniej w blaskach zachodu i porównawszy ją z tumem w Strasburgu oraz z kościołem S-go Stefana, w Wiedniu, cofnąłem się wobec tłumów, zobojetniałych na ten cud budownictwa, a wyległych na miasto, dla przechadzki jedynie.

Pomniki takie nie dają się oglądać wśród bezmyślnego, rozbawionego mrowiska; dla zrozumienia potęgi ich, trzeba przedewszystkiem: ciszy i skupienia. Tymczasem nęciły nas inne osobliwości kolonii. Tu dom, w którym, według obalonego dziś podania, miał się urodzić i przemieszkwać czas dłuższy, Piotr Paweł Rubens, genialny przedstawiciel szkoły flamandzkiej, tam stara kamieniczka, i wychylające się z okien jej dwa konie wypchane. Opromienia je poetyczna legenda ludowa o zmarłej małżonce, która po śmierci wróciła z kostnicy do swych progów, a zapoznana przez wzdragającego się przyjąć ją męża, konie jego ulubione zawezwała na świadki. Rumaki weszły po wąskich schodkach same, na drugie piętro, by dać za zmarłych wstałą świadectwo, lecz dotknięte niewiarą męża, u stóp jego trupem padły. Odtąd miasto Kolonia lokal ten, ku nauce potomnych, nietknięty utrzymuje, a dwa konie wypchane, wychylone z okna staroniemieckiego, stylowego domku, mają widokiem swym chronić mieszkańców od łamania wiary małżeńskie.

Poetyczna owa legenda, stanowi wstęp jedynie, do podania pobożnych, związanych z przepysznyim kościołem S-go Gereona. Widziana w półmroku zapadającej nocy, grobowa ta kaplica męczenników Tebaidy, potężne i wstrząsające czyni wrażenie. Olbrzymia, o nawach, których w cieniu końca dojrzyć nie możesz, złożona cała z malowań *„al fresco“*, z mozaiki i bardzo bogatej polichromii, imponuje ona, onieśmiela i do miejsca przykuwa. Napróżno mówi mi przewodnik, że główny korpus świątyni wzniesiono w 1066—1069 r., w stylu romańskim, że wiek XIII dodał mu chór w stylu przejściowym i nawy gotyckie. Szczegółów tych nie jestem w stanie zrozumieć narazie, bo tajemnicza, potężna kopuła główna, ponura, cicha, mrokami zaległa, cieniem spowita, cieniem, który rozjaśnia gdzieś gdzie nimb złoty nad głową męczennika, nimb, stapiający się z ostatnim promieniem zachodu i wraz z nim ku górze biegnący, kopuła ta, po której ślaniają się jak duchy eteryczne, a niepochwytne, białawe dymy kadzideł przykuwa mnie i obezwładnia. Zamienić się w opar taki, w jedno gorące technienie modlitwy, stopić się z tą ciszą kojącą i pozostać tu na zawsze, na zawsze...

Głowę kornie pochyliłem na dłoń. Pod powiekami, przez pryzmat łyżki bezwiednej, inny na siatkówce powstał obrazek. Wśród czarnoziemi lubelskich łąnów, ubogi o jednej wieżycy kościółek, a obok cichy, wiejski ementażyk w zieleni cały ukryty. Jeżeli spojrzeć, to tam, bo i po śmierci, bogom swym wiernym być należy.

Złudzenie pierzchnęło. Opuszczałem kościół S-go Gereona, w półmroku tonący, z chłodem już tylko uczuciem podziwu i zdumienia.

Zdumienie to wzrosło do zachwytu nad uprzejmością kolończyków, którzy o 9-iej wieczorem, oświetlili cały ratusz elektrycznością, by nam skarby jego pokazać. Pojmuje, iż podstawą niezwyklej grzeczności tej, ze strony dwóch panów radnych, do których prośba moja trafiła, była tylko, łatwa do zrozumienia, duma narodowa. Niemniej żałuję, że słowa te ich nie dojdą, bo wyraziłyby im podziw nasz i wdzięczność szczerą.

A mają rację pysznić się z ratusza swego, panowie radni Kolonii. Zalany potokami światła elek-

trycznego wspaniale on się przedstawia. Gotyk z XV w. z portykiem w stylu odrodzenia, dobudowanym w dwieście lat później, wart jest szczegółowego zwiędzenia, chociażby dla bezcennych, a doskonale zachowanych gobelinów, pokrywających ściany sali muszlowej. Sala Hanzy, zdobna w niepospolite obrazy a pamiętna związkiem hanzeatykiem podpisany tu w 1362 r., przez 77 miast germańskich jest niemniej ciekawą od wewnętrznego, galerią kamienną obwiedzonego dziedzińca, o którym podania historyczne i poetyczne legendy opowiada, nam z wielką uprzejmością i literackim zacięciem gościnny, a wykształcony przedstawiciel gmachu tego.

Pomimo, iż ratusz, skarbami swymi, do późnego zatrzymał nas wieczora, nazajutrz, o 6-ej zrana, sługa wasz stał u portyku katedry. Sierpniowe, bardzo wczesne, a więc w odblaski purpury bogate jeszcze słońce, złośliwie i łamało się w koronkowych, przezroczystych rzeźbach świątyni. Wewnątrz, dzwon donośny wzywał pobożnych na modlitwę. Miasto jednak, uśpione, o drzewach rośną jeszcze poranną błyszczących i ulicach pustych nieledwie, niewielu pobożnych słało na to hasło. Wszedłem pod sklepienie i... stanąłem olśniony. Katedra pusta była zupełnie.

Od potężnych filarów pięły się ku górze łuki ostre, wysmukłe i biegły wyżej, coraz wyżej, łącząc się u szczytu z lekkością szaty powiewnej, z natchnieniem pieśni, która jakimś wielkim, potężnym rozbrzmiewa akordem.

Żadnych ozdób, żadnych złocen. Jeżeli kościół Św. Stefana poważnym swym półmrokiem i tajemniczością zdaje się usposabiać do mistycznych uniesień, tu wszystko jest: prostota, jasnością, poezją. Duch tylko skupia się, koncentruje i, czując nicosć własną wobec podobnego ogromu, w proch się kórzy lub za łukami tymi dąży w niebiosy...

Stałem milczący, zapatrzonej w cud ten i w tajemnicy duszy własnej, oniemiały. Wtem, złote promienie słońca, przebiwszy się przez szyby kolorowe, rzuciły na szczyty sklepienia tęczę barw przeczystych. Chwili tej nie zapomnę nigdy. Zdawało się, że mury ożyły nagle, że duch wstąpił w nie, wijąc nad poetycznymi ostrołukami nimb przejrzyści.

Świątynia żyła cała. Uroczyste, podniosłe tony organu, przypominały mi w porę, że żyła ona tylko idea, duchem, dla którego stworzoną została. A pieśń tymczasem, wypełniała sklepienia, będące rodzajem pieśni także. Gdzieś, w głębi dla oka mego niedostrzegalnej, odprawiała się ofiara mszy świętej. Na palcach, by odgłosem kroków nie zamącać ciszy, pełnej namaszczenia, szedłem naprzód i naprzód, aż uderzony niezwykłym widokiem, stanąłem, nie broniąc się dłużej wzruszeniu.

U stóp grobowca, spoczywającej tu, królowej naszej Ryksy, kapłan staruszek, głowę swą, śniegiem pokrytą i postać drobną, zasuszoną, pod brzemieniem lat ku ziemi idącą, chylił przy świętej ofierze. Dwie świece i ołtarz, jakby prowizoryczny, z desek złożony. To ubóstwo niezmiernie, przy potężnym gmachu, dzwignionego za dziesiątki milionów, wstrząsającym było kontrastem. Pan wszechświata był w tej chwili ubogiem dziecieniem, w stajence urodzonym; zstępował zaś na ten ołtarz pokorny, a biedny, za tego, który w trumnie ubogiej u stóp jego spoczywał.

Ta trumna prosta, z pobejcowanych desek zbita, a w połowie tylko czarnym całunem okryta, tu, o wschodzie słońca, wśród ogromu jednej z najpotężniejszych i najwspanialszych świątyni ziemi, musiała wstrząsnąć każdym, dając mu uczuć, jakim prochem, jakim atomem był wobec wszechmocy Bożej, której gmach ten cześć niósł korną.

Wybiegłem. Na zewnątrz, potokami jasnego światła oblane, a przez porównanie z otaczającymi domami, prostsze jeszcze i wysmuklejsze, strzelały w obłoki gotyckie wieże katedry. Ostrołuk zebrał wszystkie swe idealne, pomnikowe formy, by pnać się niemi wyżej, a wyżej, wznieść Panu nad Pany, jeden z tych chramów Bożych, których czystość linii i śmiałość zarysów, przez wieki później zdumiewają umysł, a serce ludzkie ku niebu podnoszą. Wykuty w kamieniu fronton świątyni i koronkowe rzeźby jego, złączyły się w jeden nieśmiertelny poemat, biegnący śmiało, powiewnie, a wysoko, wy-

soko, w przestworza, za którymi duch ludzki nigdy tęsknieć nie przestanie.

III.

Herbestha'll... Verviers!... i klasyczna ziemia niemiecka pozostała za nami. Pociąg biegł w tempie szalonym, wzdłuż fabryk o potężnych kominach, wzdłuż łąk i pól w regularne kwadraty pokrajanych. Działy te, mniejsze lub większe, rozgraniczały rowy, na pozór bardzo zwyczajne, trochę tylko szersze od naszych; patrzyłem więc na nie obojętnie. Wtem, przez wysokie, zielenią bujną oplecione tyki chmielnika, błysnęły mi opodal żagle białe, a dalej maszt wysoki i znów płachta szara, spracowana, jakby potem znoju przejęta, a wiatrem lekko do góry podniesiona. Żagle i maszty wśród plantacji chmielu? Nie mogłem zrozumieć tego narazie. Nagły zakręt linii kolejowej wytłomaczył mi zagadkę. To owe rowy, tak niewinne napozór, były głębokimi kanałami, po których mknęły najswobodniej obławowane, potężne berlinki. Wszystkie te zaś drogi wodne, wszystkie kanały, krótkie podjazdowe kolejki i wielkie, ruchem wrzące linie dróg żelaznych, biegły ku środowiskom belgijskiego handlu i przemysłu.

I, patrząc na tę każdą pędzą ziemi, wyzyskaną, bujną, mozołem rąk ludzkich naznaczoną, zacząłem pojmować podstawę rolniczego i przemysłowego bogactwa Belgii, której malownicze, schludne wioski lub czerwonymi dachami błyszczące miasteczka, migały na przemian z wysokimi kominami fabryk i wałami miasta Liège.

Jeden z najsłynniejszych uniwersytetów Europy i jedna z największych fabryk broni, rozsiadły się tu obok siebie, w otoczeniu murów wielkiej fortecy, jak gdyby zbrataniem tem chciały uragać cywilizacji, której obie przecież są widomym wyrazem. A po nad odlewniami karabinów i armat, po nad głośnym siedliskiem ludzkiej nauki i wiedzy technicznej, śmiało się słońce, wiecznie młode, uśmiechała przyroda, w tym zakątku Belgii najbardziej może uroczą.

Kraj to wreszcie tak piękny, zarówno nad Mozelą, jak Skaldą, iż do samej Brukselli wydaje się jednym ogrodem, jednym parkiem olbrzymim, przez góry i wąwozy, miasteczka i wioski poprzecinany. Już nas winda zaniosła do oświetlonych elektrycznością numerów hotelowych, już szum stolicy i gwar jej bulwarów zastąpiły ciszę sioł walońskich i wiosek flamandzkich, a jeszcze przed oczami błyskały mi czarowne ich krajobrazy, w blaskach zachodu skąpane.

Bruksella jednak należy do tych miast, których urok każe zapomnieć szybko o poprzednich wrażeniach. Szalony ruch jej porwya przybyłego; piękność dzielnie całych, gmachów i zbiorów zniewala go i przykuwa. Gdy z okien Métropole'u, położonego przy *Place de Brouckère*, rzuciłem po raz pierwszy okiem na miasto, panorama jego wydała mi się isticie czarodziejską. Na prawo, rozciągające się pod kątem ostrym: *Boulevard de la Senne* i *Boulevard du Nord*, na lewo: *Boulevard Anspach*, przecięty placem Giełdy i placem Wodotrysków, a dalej *Boulevard du Hainaut*, zakończony „bulwarem południowym.“ Przestrzeń ta, obejmująca wierzchołki, a więc dla wzroku wkońcu niedojrzalną, rozbiegała się w dwie strony linią prostą, nieskończenie długą; zalana zaś potokami istnymi światła elektrycznego, wrząca od mrowiska ludzkiego, które tłumami całymi zalegało trotuary, imponowała poprostu ruchem swym i życiem.

Zbiegnąć na dół i połączyć się z tą masą strojną, gwarą, przelewającą się jak fala żywa, było dziełem jednej chwili. Brak teatrów, bo nawet słynny *de la Monnaie* zamknięty jest do zimy, zmusza brukselczyków do szukania rozrywki i wytehnienia w *cave-concert'ach*, ogrodach i piwiarniach. Każda więc kawiarnia, każda restauracja, obliczona tylko na dziesiątki osób, znalazłszy ich setki wieczorem, rozruca krzesła, na sposób paryski, wprost na trotuarach, na ulicy, a spragnione tłumy, przyuczone do tej bożceremonialności, zasiadają pod niebem gwiazdami usianem, by nad ulubionym *boćiem* lub kieliszkiem *vermouth'u*, do późnej nocy bawić się gawędką.

Błądząc wśród ulic rojnych i gwarnych, patrząc się grupom, rozrzuconym w zaimprovizowanych kawiarniach, zdumiony zostałem pewnym, jednolitym ich charakterem: Nigdzie stroju kosztownego, wykwintnego, lecz wszędzie zamożność; mieszczaństwo to widocznie dostatnie, które po dniu pracy, wieczór rozrywce poświęca. Mężczyźni, pewni siebie, mówią dużo, a fizyonomie ich cechuje bystrość, inteligencja i stanowczość. Kobiety, nietyle piękne, ile silnie zbudowane i okazałe, zdradzają widoczną domieszkę krwi flamandzkiej. Typ to skłonny do okrągłości kształtów i trochę ociężały, a różny od ruchliwej, pełnej szyku i werwy, rodowej paryżanki.

Wśród osobliwości Brukselli uderza najpierw i przygnęta inne swym ogromem, przepyszny *Pałac sprawiedliwości*.

Gmach ten olbrzymi, zajmujący głównym korpusem powierzchnię dwóch hektarów, a więc większy od kościoła Św. Piotra w Rzymie, czyni w rzeczywistości imponujące wrażenie. Każdy z nas czytał nieraz wymowne jego opisy, a jednak, stanąwszy u stóp ulicy *de la Régence*, z której króluje cała Bruksella, doznajemy mimowolnego olśnienia. Nie jest to zachwyt wywołany dziełem stylowym i jednolitym, bo pałac sprawiedliwości łączy w sobie wszystkie znane porządki architektoniczne, lecz wprost podziw dla ogromu budowli, która jednocześnie w sobie, z przedziwną harmonią cechy znamienne najpiękniejszych gmachów: greckich, rzymskich, egipskich, assyryjskich i romańskich, a wieńczy je przepysznie wskrzeszonym stylem odrodzenia. Dość jest porównać brukselski *Palais de justice* niewykończony jeszcze, ze świeżo odsłoniętym, a przesławionym gmachem parlamentu w Berlinie, aby pojąć kolosalną różnicę dzielącą dwie te budowle. Tu, obok olbrzymiego nakładu, zdumiewa dzieło geniuszu; tam, — widnieje nakład tylko. Nowy parlament, którym się tak szczycą berlińczycy, to gmach najniesmacniejszy, jaki dzwigniono w ostatnich czasach na cześć zbiorowych sił narodu. Wobec architektonicznego przepychu parlamentu wiedeńskiego, ciężka, po kupiecku złotem przedawana budowla berlińska, na zewnątrz wprost niemiłe i nieestetyczne czyni wrażenie.

Wróćmy jednak do wiekopomnego dzieła Poelaert'a. Los wielu słynnych architektów stał się i jego udziałem. Jak twórca opery wiedeńskiej, tak i budowniczy brukselskiego pałacu sprawiedliwości nie doczekał sławy swego dzieła.

Gnębiony ostrą krytyką za wyszafowanie 52 milionów na koszt budowy (na budowę Św. Piotra wydano 275 milionów), oraz za stworzenie gmachu, którego ogrom jest ciężarem dla niedużej Brukselli, a byłby na miejscu właściwym wśród monumentalnych budowli Rzymu, Poelaert zmarł, ze zgrozoty podobno. Dziś, wdzięczni Belgowie wznoszą mu pomnik, popiersie zaś jego umieścili w sali *des Pass-Perdus*, gdzie zdaje się on robić honory domu statuum takich mówców lub prawników, jak: Cyceero, Demostenes, Likurg, i inni.

Po za owym przedśionkiem, w którym faktycznie gubi się odgłos własnych kroków, gmach ten obejmuje jeszcze: 27 wielkich sal, 245 salonów mniejszych, 8 dziedzińców, ect. A co to za sale! Z jakim artystycznym przepychem, z jakim nakładem gustu i złota wykonanej... Jeżeli *la salle des Pass-Perdus* imponuje rozmiarami i pomnikowymi zarysami architektonicznymi, to taka np. sala apelacyjna najwyższego sądu kryminalnego, jest w surowej swej powadze wprost zachwycająca. Heban, marmur czerwony, rzeźby przepiękne i dzieła pędzla, tworzą tu całość godną artystycznej sławy Flandrii.

A sława ta, przez przeszłe wieki zdobyta, dziś zaś godnie podtrzymywana, na każdym uderza cię kroku. Czy zwiedzasz przepiękną katedrę Św. Guduli, w najczystszy gotyku wzniesioną, pochodzącą zaś z 1070 r., czy zachwycasz się patryotycznym, a niezwykle *Campo santo* Belgijczyków, lub podziwiasz gmachy takie, jak: ratusz, senat, parlament, *Maison du roi*, potężne, pomnikowe budowle, zamakające Plac królewski, czy podziwiasz muzea, galerie, pałac sztuk pięknych, lub tylko bulwary i wybitniejsze dzielnice miasta, wszędzie uderza cię piętno artyzmu przez wielką szkołę flamandzką, przez artystyczną przeszłość Niderlandów, na kraju tym wyciśnięte.

I, nie dziwnego. Wszak ojczyzna to malarstwa, jego techniki i siły dzisiejszej. Wprawdzie wykopaliska pompejańskie wskazują, że i Rzymianie ozdabiali już ściany domów swych malowidłami, niemniej, Hubert van Eyck, domniemany wynalazca malarstwa olejnego, rodowitym był Belgijczykiem, a brukselski *Palais des Beaux-Arts* mieści najcenniejsze jego dzieła. Tu żył również brat jego, Jan van Eyck, a Roger van der Weyden, zwany Rogelet de la Pasture, założył w XV w. szkołę swą w Brukselli. Uczeń jego, Jan Memling, to znów jedno z możliwych nazwisk w dziejach sztuki; a idą za nim co raz godniejsi i wyżsi następcy. Pod pióro też, przy wspomnieniu artystycznej przeszłości Belgii, tłoczą się takie nazwiska, jak: Gossaert, Brueghel'owie, Savery i cała ta bogata plejada, która tak dobrze przygotowała grunt dla genialnego Piotra-Pawła Rubens'a.

Tytan pracy i talentu, Rubens nie tylko tworzył tu główne swe dzieła, lecz pozostawił w Belgii szkołę osobną, z takimi mistrzami na czele, jak van Dyck, Jordaens, Snyders, Dawid Teniers. Niderlandy wreszcie, były ojczyzną Rembrandta. Geniusz ten potężny wytwarza znów całe zastępy uczniów i naśladowców, wśród których samoistną zdobywają sławę: Ruysdael, dwaj von Ostade, Jan Steen, Jan van der Meer, Helst, Brouwer, Adryan van der Velde, Wouwerman, Albert Cuyp, Jan Wynands, van der Heyden, van Aelst i całe szeregi innych.

Chcieć mówić o zbiorach Brukselli, znaczyłoby to roztrząsać dzieła tych mistrzów, należące dziś do historii, a niejednokrotnie opisywane. Piękny pałac Sztuki przepełniony obrazami ze szkoły staroniemieckiej i staro-flamandzkiej, muzea i zbiory nie dają dostatecznego pojęcia o wpływie tej potężnej przeszłości artystycznej.

Śladów jej trzeba szukać wszędzie, w całej charakterystyce miasta. Niema świątyni, w której nie można by odnaleźć cennych zabytków pędzla; nie ma gmachu publicznego, nie przyozdobionego mistrzowską rzeźbą lub obrazem. Wobec tego, opis miasta w krótkiej notatce, nader staje się trudnym.

Same, skarby artystyczne nagromadzone w takim *Palais de la nation*, mogłyby osobne utworzyć zbior. Nie brak tu niczego, co by bogactwo Belgii godnie reprezentować zdołało. Złoto, marmury i dzieła sztuki złożyły się na tę książęcą siedzibę przedstawicieli kraju. Sala poselska i Izba deputowanych ma jeszcze pewną demokratyczną surowość. Senat jednak tonie w puchach dywanów i gloryi arcydzieł ducha. Pokazywano mi go przy blasku słońca i w oświetleniu elektrycznym, które poważnym tem ścianom nadaje magiczne pozory życia. Panowie w krezach ze średniowiecznych brabancich koronek, schodzą ze starych gobelinów, a chyłąc się w dworskim ukłonie przed Izabellą Hiszpańską, przyjmującą żonę Rubensa, lub przed Małgorzatą Parmeńską, nadającą w 1566 r. wolność wyznania szlachcie (*Compromis des nobles*) nie poznają, że władczyni owe, to wytwór zupełnie nowy, to współczesne gobeliny z Malines. Wyrabia je firma Braquenie i S-ka, według kartonów malarza Geefs'a, a tworzy, dzięki wzorom średniowiecznym, istne arcydzieła. Aby je zobaczyć, warto umyślnie do Belgii pojechać.

Dawne artystyczne tradycje, a dzisiejsza szalona praca i zapobiegliwość, oto cechy charakterystyczne obecnej Brukselli. Dodać do nich jeszcze należy: część dla pamiątek i dla zasługi, uwiecznianej mnóstwem posągów, w świątyniach, ogrodach i na placach publicznych. Te posągi, to dla miejscowej ludności, poglądowy wykład dziejów własnego kraju, to szczerzenie w niej miłości do wszystkiego co swojskie, to podnoszenie chwalebnej dumy narodowej. Dom, w którym hrabiowie Egmont i Hornes, obrońcy wolności belgijskiej uwięzieni zostali, jest dziś własnością narodu. Odnowiono go wspaniale, by zamienić na — muzeum pamiątek. I, rzecz dziwna. W pięknym tem mieście, o szerokich zadrzewionych ulicach, po których mkną tramwaje elektryczne, w mieście nawskroś nowożytnym, o przepysznych bulwarach, przypominających żywo metropolię świata, w ognisku tem ruchu i życia, gdy rozejrzysz się bliżej, każdy kamień, każdy szczegół wyda ci się ważnym zabytkiem przeszłości. Od rozległego *Bois de la Cambre* do rezydencji monarszej w Laeken, do gotyckiego kościoła kryjącego tamże groby królewskie, wszędzie spoty-

kasz ten język odrębny, w kamieniu i bronzie wykuty, — język pamiątek.

Tak narody, narówni z Belgami żywotne, ryją w głazach swe dzieje, piszą historję.

Anatol Krzyżanowski.

Kronika działalności kobiecej.

— Wiadomości petersburskie donoszą, iż lokal dla niewieściego instytutu lekarskiego w Petersburgu już został obrany i ministerium oświaty zajęło się urządzeniem go odpowiedniem do przeznaczonego celu.

— Do komitetu odzieży na wystawie higienicznej należą p. p. Helena Kuczalska, D-r Jakubowska, Józefa Gebetnerówna, Gosiewska, Kleniewska, jako rzeczoznawczynie p. p. Daleszyńska, Meiznerowa, Sierżputowska, Winerówna. Dotychczasowe obrady komitetu zajmowały się bielizną kobiet i dzieci, oraz sprawą sznurówki. Po omówieniu różnych odmian kroju i własności materiału, postanowiono przedstawić materiały z opisem ich własności higienicznych, oraz modeli z napisami dotyczącymi oceny higienicznej różnych rodzajów kroju bielizny, czego zobowiązała się dostarczyć p. Sierżputowska. Kwestya gorsetu została omawiana na ostatniem posiedzeniu.

— Na ostatniem posiedzeniu warszawskiej Sekcji rzemieślniczej znajdowało się wiele kobiet, ponieważ miał być odczytany referat p. Bojanowskiej, sekretarki delegacji pracy kobiet przy tejże sekcji. Przypuszczenie kobiet do cechów na prawach równych z mężczyznami stanowiło dla tych pracowni rzecz ważną, co też nastąpiło przed paru laty pod warunkiem przecieży, że żądające tego zdadzą przepisany prawem cechowem egzamin. Delegacja zażądała utworzenia oddzielnego cechu kwaciarek i rozpatrywano jakie zawody pracy odpowiadają siłom kobiety, obok czego zwrócono uwagę na dolę szwaczek warszawskich, które w skutek warunków życia niehigienicznych tracą siły do pracy. Poprzednia już delegacja ożwała się prośbą do pań ziemianek o przyjmowanie tych pracowni, co też nastąpiło. W roku bieżącym pragnęło wyjechać na kilka miesięcy 82 szwaczek, lecz znalazło miejsce tylko 53. Wszystkie wróciły pokrzepione na siłach a dodać trzeba, że panie, które ten dobry uczynek spełniły, były pod wszelkim względem zadowolone. Stare przysłowie: ręka rękę myje, noga nogę wspiera, jest i będzie zawsze prawdą w życiu ludzkim.

— W szkole artystycznej p. Heleny Tokarzewskiej wykonany został przez jedną z uczennic obraz, przeznaczony do ołtarza w kaplicy Matki Boskiej na Powązkach. Szkoła ta rozwinęła się bardzo pomysłnie, kształcąc uczennice w malarstwie i rysunku w zakresie sztuki czystej, jak i stosowanej do przemysłu. Taką szkołą p. Br. Wiesiołowskiej urządza wystawę publiczną prac uczennic, obejmującą malarstwo czyste i stosowane, oraz rysunek techniczny.

— Rzeźbiarka, p. T. Certowiczówna, wykonała odlew bronzowy z medaljonu Matejki wkrótce po śmierci mistrza; reprodukuje te mieszczą się w salonach artystycznych naszego miasta w cenie po 3 rs. za sztukę.

— Zarząd Lubelskiego Tow. Dobroczynności złożył podziękowanie paniom ziemiankom: Tekli Sonnenberg, Maryi i Natalii Bobrowskim, które przyjęły łaskawie 24 dzieci na kolonie letnie. Dzieci te nie tylko otrzymały łaskę przebywania na wsi przez lato całe, ale wszystkie ich potrzeby były troskliwie zaspakajane, obok czego otaczano je prawdziwie macierzyńską opieką i troskliwością.

— Georgina von Roth, panna z wysokich sfer społeczeństwa, bo córka feldmarszałka, jest pierwszą w Austrii lekarką. Kształciła się w domu, przecieży zdała egzamin w jednym z gimnazyj wiedeńskich i otrzymała świadectwo *maturitatis*. Chcąc się kształcić dalej w zawodzie swoim, który uważała za bardzo pożyteczny, udała się do Żury-

chu, gdzie otrzymała po ukończeniu studiów stopień doktora medycyny, praktykowała w Wiedniu przez czas długi i została za zezwoleniem cesarza zamianowana pierwszą w Austrii lekarką. Akt przyznania jej tej godności odbył się bardzo okazale. Obok przełożonej instytutu i grona nauczycieli asystował delegat ministerium, wyrażając przekonania swoje o potrzebie kobiet lekarek, a wykazując zarazem jak powinny one pojmować obowiązki swoje, równające się w zasłudze z misyonarkami jedynie.

— Uniwersytet w Zurychu zamianował w ubiegłym roku szkolnym dziewięć doktorek, a z pośród tych siedem otrzymało godność doktora medycyny, jedna filozofii, jedna prawa. Rozprawy na doktoryzacyą miały w ogóle taką wartość wyższą, że przedrukowano ich pięć w poważnych organach nankowych, a to: Idy Schmidt, Emmy Rhyner, Mosli Herbia, Jadwigi Waser, Anny Mackenrott. Ta ostatnia obrała sobie za przedmiot historję kobiety greckiej i rzymskiej w wiekach średnich, a jest ona rodem z Gdańska.

— W Berlinie podniesioną została w dziennikach kwestya, czy pożyteczną jest dla ogółu ta nowoczesna praca kobiety, która wypiera mężczyznę z różnych stanowisk tak w handlu, jak i w urzędach, nie przez wyższą doskonałość, ale przez taniość. Berlińskie Towarzystwo ubezpieczeń na życie, dając poprzednio zajęcie 300 mężczyznom z pensją od 60 do 120 marek miesięcznie, zatrudnia obecnie 150 kobiet, pobierających od 3 do 75 marek, co daje Towarzystwu miesięcznie 7,000 marek oszczędności, ale też umniejsza o tyle zarobek klas koniecznych go potrzebujących. Kobiety w Berlinie zajmują się zecerstwem, stenografią, a gdy płacą no stenografom 150 marek miesięcznie, kobiety przyjmują chętnie 30 do 40 co najwyżej, a zaczyna się tak dziać w różnych gałęziach pracy, czy przecieży jest to z korzyścią dla ogółu, bo mężczyzna nie znajdujący zarobku nie żeni się i kobieta pozostaje samotną, czy zatem jest szczęśliwą — czy społeczeństwo w ogóle jest w obec takich warunków szczęśliwem? Kwestye finansowe wkraczają coraz głębiej w dziedzinę życia moralną i należy się zastanowić, czy kierunek dzisiejszego ruchu pracy kobiet jest unormowany dobrze?

— Angielskie czasopismo *Fortnightly Review* podnosi kwestyą czy kobieta, oddającą się studjom uniwersyteckim w tym właśnie czasie dojrzewającego rozwoju umysłu i ustalania się kierunku myśli, będzie potem mogła skłonić myśl swoją do prac i zadań życia w rodzinie. W skutek tego mniej niż trzecia część kobiet studiujących na uniwersytetach idzie za mąż, a reszta zostaje przeważnie nauczycielkami, które samotnie iść muszą przez życie. — Czy przecieży te samotne nie są użytecznymi i nie pracują w rodzinach?... odpowiada na to pismo niewieście *The Queen*. Są to w znacznej części pomocnice matek i wytwarzają ten dział pracy wychowawczej, który jest konieczny potrzebny ze względu tak na materialne jak i moralne strony wychowania.

— Florencia Bascom amerykanka, została docentem geologii na uniwersytecie Nowego-Yorku a jest ona pierwszą w Ameryce kobietą, która otrzymała w północnych Stanach Ameryki stopień doktora filozofii.

— Miss Dorota Chestie, aktorka bardzo utalentowana w zakresie swojej sztuki, spełniła czyn bohaterskiego poświęcenia. Płynąc parowcem „Richard Jack“ wyszła na pokład w chwili, gdy jeden z podróżnych nieuważnie wychyliwszy się dla objęcia wzrokiem widoku jaki przedstawiało nad brzeżne miasto New Hawen, do którego przybijano, poezął tonąć. Zrobił się krzyk, wołano o liny ratunkowe, ona przecieży widząc że nieszczęśliwy zanurza się już, skoczyła w morze i utrzymała go na powierzchni przez chwilę, która dała możność silniejszej pomocy. Kobiety amerykańskie postanowiły ją uczcić jakimś darem pamiątkowym, ona przecieży prosiła, aby w to miejsce spełniono jakiś czyn miłosierny.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż wkrótce zwołana zostanie konferencya w sprawie uregulowania formalności celnych. W konferencyi tej wezmą udział przedstawiciele kolei zagranicznych, dotyczących do granic państwa. Na kolejach, które posiadają w Petersburgu stacje krańcowe, czyniono próby z nowymi łącznikami, usuwającimi trzęsienie wagonów, co da zarazem dłuższą konserwację tych szyn; za nadejściem wiosny czynione będą próby nowego wynalazku na wszystkich, wskazanych powyżej kolejach.

— Według *Wiadomości Petersburskich* czytamy, ma być wkrótce w radzie państwa projekt ministerium finansów dotyczący przyjmowania w klasach skarbowych przy opłacie podatków monety złotej wedle kursu Banku państwa.

— Ministerium rolnictwa wydało polecenie, aby przy zarządach gminnych zaprowadzono obowiązkowo sadzenie morw, których płonki będą wydawane bezpłatnie w leśnictwie państwa.

— Zarząd miasta Warszawy wyznaczył na rok przysły 1896 zapomogi dla szpitalów warszawskich, branych ogółem 156,132 rs.

— D-r Markiewicz przedstawił w „Kurjerze Warszawskim” sprawozdanie, co do wysyłania na wieś słabowitych dzieci rodziców niezamożnych. Wysyłanie ich odbywało się w roku bieżącym według porządku przyjętego od lat czterech: w ciągu dnia ośmiu zgłosiło 2995 dzieci, zakwalifikowano na wyjazd 2159. Przy segregowaniu dzieci na różne sezony brano pod uwagę, aby wyjazd na wieś nie stawał na przeszkodzie prawidłowemu uczęszczaniu do szkółek, o ile też było można przeznaczano dzieci uczęszczające do szkółek na sezon drugi, lipcowy, aby wyjazd na kolonie nie przeszkadzał nauce. Ale nie wszystkie dzieci tej kategorii miejsce tu znaleźć mogły i paniom ziemiankom należy się postarać przez dobroć serca, aby miejsca te otworzyły się dobroczynnie.

— Byli uczniowie szkoły J. Pankiewicza postanowili uczcić zasługi swego przełożonego przez wytworzenie funduszu na jego imię. P. Hordliczki i Troeńscy zbierają już około 4,000 rs., że przecież nie jest jeszcze zamknięta, spodziewać się można że fundusz stypendyalny zwiększy się jeszcze. Z końcem roku kapitał zebrany zostanie umieszczony odpowiednio.

— Na członków Towarzystwa przytułków noclegowych, tanich kuchni i domów zarobkowych zapisało się osób 27, z których każda złożyła 10 rs.

— W bieżącym miesiącu p. Edmund Jankowski rozpoczął szereg pogadanek z wiedzy ogrodniczej. Uczony ten pomolog i zarazem dobry obywatel, bo zajmujący się podniesieniem dobrobytu wśród ogółu naszego, wykazał na wstępie, że nie ma u nas dość szkółek, któreby odpowiadały potrzebom rozwoju ogrodnictwa. Oprócz członków Tow. Ogrodniczego mogą tu być słuchaczami i osoby inne, przez członka wprowadzone.

— Komitet Towarzystwa sztuk pięknych zamierza zbudować dla tej instytucji gmach nowy i komitet Towarzystwa naradzając się gdzie go wznieść, zamyślał, aby to miało miejsce na placu przed kościołem ewangelickim, ale podniosły się przeciwko temu głosy tak członków zboru ewangelickiego, jak i magistratu wykazując dowodem niedogodności, jakie by z biegiem czasu wytworzyć się mogły, tak pod względem estetycznym jak i praktycznym.

— Wystawa dyoramiczna obrazu J. Ryszkiewicza „Zbrodnia” urządzona w Hotelu Europejskim w sa-

lonie sztuk pięknych Krywala, zamknięta w tych dniach, przewieziona została do Łodzi

— Konkurs śpiewaczy rozpisany przez *Lutnię warszawską* z terminem d. 24 bieżącego miesiąca ściągnął już zapisy kompletów pojedynczych obok kwartetów, pochodzących od różnych stowarzyszeń i instytucji muzycznych Warszawy, Radomia, Kalisza, Łodzi, oraz miast innych. Oprócz nagrody w żetonach najlepszy kwartet potrójny otrzyma nagrody 180 rs., a kwartet pojedynczy 100 rs. Oprócz stowarzyszonych śpiewaków *Lutni* weźmie tu udział kilka kwartetów amatorskich, a między niemi chóry śpiewaków Towarzystwa Muzycznego.

— Do kasy Instytutu głuchoniemych wniosła w tych dniach osoba, niechcąca wymienić swego nazwiska 215 rs., z celem pokrycia opłaty za pięciu niezamożnych wychowanców, którzy mieli być w skutek tego wydalen. „*Kurjer Warszawski*” rzecz ogłosił i dobry jakiś człowiek spełnił poezowie czyn miłosierdzia.

— Towarzystwo jedwabnicze otrzymuje obecnie wiele więcej kokonów, niż to dawniej było z dwudziestu trzech hodowli nadesłano ich 200 funtów. Zakład leśniczy w Ciechocinku przesłał rządowi za inicjatywą prezesa Towarzystwa, doktora Benzemera 1,000 płonek morwy, a przykład ten dobry oddziaływa i Kijów biorąc go od nas założył sobie sekcję jedwabniczą.

— Biblioteka uniwersytetu warszawskiego otrzymała od króla syamskiego 89 tomów świętych ksiąg buddyjskich, drukowanych w Siamie na pięknym papierze chińskim, oprawnych w skórę i ozdobionych heliograficznymi portretami króla.

— W Krakowie wszystkie instytucje i stowarzyszenia zwróciły się do mieszkańców z żądaniem, aby w miejsce kosztownego oświetlania grobów i składania na nich wienców w dzień zaduszny uczyniono ofiarę na ubogich. Wprawdzie miłosierdzie jest cnotą wysoką i miłą Bogu, ale pewne formy życia, które wruszają nam serca, nie są czezą rzeczą. Odrywają nas od rzeczywistości codziennego istnienia, wruszając wyrabiają uczuciowość i źle by było na świecie, gdyby tylko zimny rozsądek kierował człowiekiem, któremu trzeba tego, co zwiemy ideałem: wzlotu po nad rzeczywistość, bo nie samym tylko chlebem on żyje.

— Piszą z Poznania o trzech pomyślnie przeprowadzonych nabytkach dóbr ziemskich. Klucz miłosławski, należący do hrabiego Mielżyńskiego Józefa, kupił Józef Kościelski za 3,200,000 marek. Dobra rycerskie Zelice, mające obszar 5,000 morgów nabył na subhastacji p. Wojciech Nieży chowski za 647,000 marek, dobra Pigołowice obszaru 1,500 morgów nabyła na subhastacji również p. Moszczeńska.

Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

Oxalis (szczawik).—Radość.

Roślina ta, kwitnie około świąt wielkanocnych w chwili radosnej dla chrześcijan, kiedy kościoły, rozbrzmiewają wesołym hymnem Alleluja!

Sława uczciwego człowieka jest świadectwem jego sumienia. Miej czyste sumienie, a zawsze radość posiadać będziesz.

Do radości.

Słodki aniele, przyjacielu mego dzieciństwa, wieczny stróżu chwil ubiegłych, powiedz mi gdzie uleciałeś, powiedz mi czy—i kiedy powrócisz? Dawniej nie znałem cię, a ty szedłeś w ślad za mną a dusza moja, wolna była od trosk i kłopotów. Teraz znam cię i śpiewam, dla czego się odemnie odalas?

Dawniej nie wołałem cię, a ty nie odstępując mnie w snach ze mną igrałeś! Teraz wołam cię i płaczę, i wzywam napróżno.

Czy zawsze jesteś tam, gdzie pierwszy uśmiech sprowadziłeś na usta dziecięcia.

Może błędzisz w jasnej zieleni łąk, gdzie wiosna moja tak szybko minęła. Może kryjesz się wśród wiosek, z kąd wyrwało mnie przeznaczenie, na brzegu źródła co snuło błyszczącą łuskę u stóp gór, wśród tysiąca kwiatów.

Czy lśniesz może w myriadach gwiazd łagodnym blaskiem, który przyciąga moje oczy w błękitne kręgi niebiosów? Czy nieba już nie mają tych samych gwiazd, lub może przestrzeń wszechświata jest mniej niezmierną?

Czy wioska jest mniej zieloną, strumyk mniej przejrzysty, niż dawniej.

Kto wie, może to ja uległem odmianie.

Dobry aniele powróć i obudź w mej duszy uczucia weselsze; zachwyć serce boskiem natchnieniem, pozwól nacieszyć się oczom promykiem nadziei. Chodź, ukaż się oczom moim, powróć, błagam cię oddaj mi Eden lat dawnych, albo stwórz inne nieba dla spragnionej duszy.

Orlik.—Szalenstwo. Smutek.

Orlik, zwany także ostrożką, zdobi nasze ogrody piękną kwiatów czerwonych, fioletowych, białych według odmian. Liście ma wycinane jasne, później ciemniejsze.

Nieładny wcale symbol dostał się orlikowi, zapewne dlatego, że kwiat przypomina czapkę błazeńską i brzękadełko poliszyneli. Ale dorzućmy na pociechę, że poeci najczęściej uosabiają smutek w tęsknej i drżącej główce ostrożki.

Osika.—Jęki.

Rzewna legenda tłumaczy, dlaczego listki osiki zawsze drżą, jakby to drzewo zawsze się skarżyło. Gdy Chrystus umarł na krzyżu, cała przyroda pogrążyła się w powszechnej boleści.

Nawet rośliny wznosiły w niebo skargi i żale. Osika tylko pozostała zimna i bez uczucia. Jestem niewinną rzekłą z dumą, a Jezus umarł jedynie dla winowajców, niech zatem złoczyńcy rozpaczają.

W tej chwili anioł niosąc kielich złoty pełen Krwi Bożej zebranej u stóp krzyża przechodził po nad głową pysznej osiki, usłyszał ją, nachylił kielich, upuścił kilka kropli Przenajświętszej Krwi na korzeń drzewa i rzekł: „Drzewo samolubne i nieczułe, niechcesz wziąć udziału w boleści ogólnej, a więc za karę w czasie najcieplejszych dni lata, gdy wszystkie inne rośliny będą spokojne i nieruchome, ty poruszać się będziesz bez przerwy; drzeć będziesz nieustannie, drzeć będziesz wiecznie, a wszyscy mówić będą: drzy, jak liść osiki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.” Przekład z niemieckiego, ark. 11.

TREŚĆ: Nauczanie przez M. I. — Żywe grobowce, przez Antoniego Pileckiego. — Kazimierz Gliński. Kłeska Powieść (dalszy ciąg). — Z Włoch, przez Augusta. — Z wrażeń turysty. II i III. przez Anatola Krzyżanowskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. Co mówią kwiaty, zebrała i ułożyła Marya Piechocka.

Dodatek obejmuje: Za późno, powieść przez autorkę powieści „Silny duch” przekład z niemieckiego ark. 11-ty. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Довзголено Цензурою.—Варшава, 1 Ноября 1895 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.